

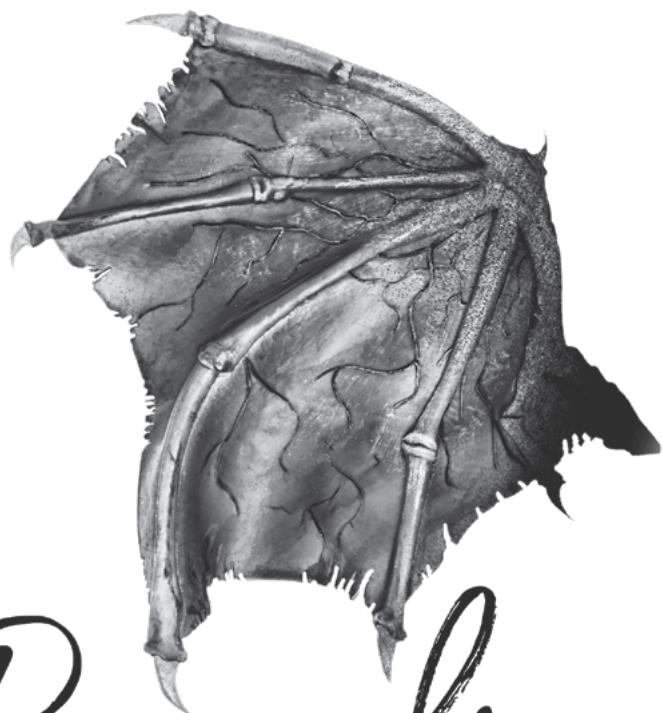
ZAWRZYJ PAKT, JEŚLI SIĘ ODWAŻYSZ



Rapsodia

LAURA THALASSA

LAURA THALASSA



Rapsodia

Przełożyła
Anna Pochódka-Wątopek

FILIA

Mojej Rodzinie – bo w życiu potrzebna jest wioska

PROLOG

MAJ, OSIEM LAT TEMU

Mam ręce we krwi, krew między palcami stóp, krew we włosach. Klatkę piersiową ochlapaną posoką, ze zgrozą stwierdzam, że czuję parę kropel na ustach.

Morze krwi plami lakierowane podłogi w kuchni. Nikt nie przeżyje takiego krwotoku, nawet potwór leżący u moich stóp.

Dygoczę na całym ciele, w żyłach wciąż krąży mi adrenalina. Upuszczam rozbitą butelkę, szkło roztrzaskuje się o posadzkę, a ja padam na kolana.

Jucha wsiąka mi w dżinsy.

Wpatruję się w swojego kata. Jego szkliste oczy spoglądają niewidzącym wzrokiem, kolor odpłynął ze skóry. Gdybym była odważna, przyłożyłabym mu ucho do piersi, by się przekonać, czy jego zimne, czarne serce przestało bić. Nie mogę się zdobyć na to, by go dotknąć – nawet w tej chwili. Mimo że już nie może mnie skrzywdzić.

Odszedł. Nareszcie odszedł.

Wrywa mi się rozedrgany szloch. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów mogę odetchnąć. Znów łkam. Boże, co za rozkosz. Tym razem płyną łzy.

Nie powinnam odczuwać ulgi. Wiem. Wiem, że należy opłakiwać stratę życia. Ale ja nie mogę. Przynajmniej nie

w jego przypadku. Może oznacza to, że jestem zła. Wiem jedynie, że dzisiaj wieczorem naprawdę zmierzyłam się ze strachem i przetrwałam.

On nie żyje. Nie może mnie więcej skrzywdzić. Nie żyje.

Już za parę sekund uświadamiam sobie, co to znaczy.

O Boże. On nie żyje.

Ręce zaczynają mi się trząść. Jest ciało, jest krew, tyle krwi. Cała nią przesiąkłam. Obryzgała moje zadanie domowe, jedna obfita kropelka zasłoniła twarz Lincolna w podręczniku do historii.

Przeszywa mnie gwałtowny dreszcz.

Wpatruję się we własne dłonie i czuję się jak Lady Makbet. „Precz stąd, przeklęta plamo!”* Mknę do zlewu, zostawiając za sobą krwawe ślady stóp. O Boże, muszę natychmiast zmyć z siebie tę krew.

Czyszczę dłonie zażarcie. Posoka poplamiała mi skórki i wniknęła pod paznokcie. Nie mogę jej zmyć, ale nie ma to znaczenia, bo zauważam, że czerwona ciecz pokrywa też moje ramiona. Zaczynam je szorować. Ale potem spostrzegam ją na koszuli i widzę, że krzepnie mi we włosach.

Skomlę, myjąc się. Nie ma to znaczenia. Ona nie chce zejść.

Kurwa.

Pochyliłam się nad granitowym blatem i oceniam różową mieszanekę krwi i wody, którą są umazane lada, podłoga i zlew.

Nie ukryję się przed tym.

* W. Shakespeare, *Makbet*, tłum. Leon Ulrich, akt V, sc. 1, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makbet.html> [data odczytu: 19.05.2024].

Z niechęcią przenoszę spojrzenie na zwłoki. Jakaś nie-logiczna częśćka mnie spodziewa się, że ojczym znów się podniesie i mnie zaatakuję. Kiedy to nie następuje, zaczynam znów myśleć.

Co mam teraz zrobić? Zadzwoić na policję? Wymiar sprawiedliwości chroni dzieci, więc nic mi nie będzie. Wezwą mnie tylko na przesłuchanie.

Ale czy mnie ochronią? Nie zabiłam przecież byle kogo, lecz jednego z najzamożniejszych, najbardziej nietykalnych ludzi na świecie. Nieważne, że nastąpiło to w samoobronie. Nawet po śmierci takim jak on uchodzą płazem niewyobrażalne rzeczy.

Poza tym musiałabym o tym opowiedzieć... o wszystkim. Ogarniają mnie mdłości.

Nie mam wyboru. Muszę się oddać w ręce policji. Chyba że...

Monstrum wykrwawiające się w kuchni znało takiego gościa, który znał innego gościa. Kogoś, kto doprowadzi syf do ładu. Musiałabym tylko sprzedać kawałek duszy, żeby z nim pomówić.

Bez glin, bez pytań, bez pieczy zastępczej ani aresztu.

Wiecie co? Niech sobie bierze, co zostało z mojej duszy. Ja chcę się tylko wydostać.

Rzucam się w stronę szuflady na duperele, drżącymi rękoma trudno mi ją otworzyć. Kiedy już mi się to udaje, szybko biorę wizytówkę i czytam osobliwe namiary. Na kartoniku zapisane jest jedno zdanie: wystarczy, że wyrecytuję je na głos.

Zalewa mnie strach. Jeśli to zrobię, nie będzie odwrotu.

Omiotam spojrzeniem kuchnię. *Już jest za późno, by się cofnąć.*

Ściskam kartonik w ręku. Nabieram powietrza głęboko i realizuję zalecenia z wizytówki.

– Negocjatorze, chciałabym zawrzeć umowę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OBECNIE

Teczka z dokumentami ląduje przede mną na biurku.

– Poczta, Callie.

Odstawiam od ust kubek parującej kawy i odrywam oczy od laptopa.

Moja partnerka w interesach i najlepsza przyjaciółka Temperance „Temper” Darling – czyli „Wstrzemięźliwość Złotko” – klnę się na Boga, tak się nazywa – stoi po drugiej stronie biurka z kokieterijnym uśmiechem na ustach. Siada na krześle naprzeciwko mnie.

Zdejmuję nogi z biurka i wyciągam rękę, by przysunąć do siebie teczkę.

Temper kiwa głową w stronę dokumentów.

– Łatwa forsa.

Wszystkie sprawy to łatwa forsa, a ona dobrze o tym wie.

Wodzi spojrzeniem po moim biurze wielkości szafki – identycznym jak jej biuro.

– Ile klient oferuje? – pytam, znów wspierając stopy na skraju biurka.

– Dwadzieścia tysi za jedno spotkanie z obiektem, poza tym klientka wie już, kiedy i gdzie masz go przejąć.

Gwizdzę. Faktycznie łatwa forsa.

– Pora spotkania z obiektem? – dopytuję.

– Ósma dzisiaj wieczorem we Flamenco's. Swoją drogą to elegancka restauracja, więc... – Spuszcza wzrok na moje wyświechtane buty. – W tym nie pójdiesz.

Przewracam oczami.

– Aha, i obiekt będzie z przyjaciółmi.

No proszę, a cieszyłam się na względnie wczesny powrót wieczorem do domu.

– Wiesz, czego klientka chce? – drążę.

– Klientka uważa, że jej wuj, czyli nasz obiekt, nadużywa opieki prawnej nad swoją matką, czyli jej babką. Będą się o to sądzić. Klientka chce przyoszczędzić na rachunkach od prawnika i zdobyć przyznanie się do winy.

Znajoma ekscytacja od razu sprawia, że skóra zaczyna mi lśnić. Nadarza się okazja, by pomóc staruszce, a jednocześnie ukarać najgorszego z kryminalistów: kogoś, kto żeruje na własnej rodzinie.

Temper zauważa moją jaśniejącą skórę i świdruje ją wzrokiem. Wyciąga rękę, lecz się reflektuje. Nawet ona nie jest odporna na moją aurę.

Kręci głową.

– Pogięta z ciebie dziunia.

Najszczersza prawda.

– Trafił swój na swego.

Parska.

– Mów mi Zła Wiedźma z Zachodu.

Ale Temper nie jest wiedźmą, lecz kimś znacznie potężniejszym.

Zerka na telefon.

– Szlag – komentuje. – Chciałabym sobie pogadać, ale mój sprawca za niecałą godzinę będzie w Luca’s Deli, mamy porę lunchu i korki, a ja naprawdę nie mam ochoty sprawić, by czterysta piątka rozstała się jak Morze Czerwone. Takie rzeczy budzą podejrzenia. – Wstaje i wkłada komórkę do kieszeni. – Kiedy Eli wraca?

Eli, łowca nagród, który pracuje czasem dla nas, a czasem dla Politji, nadprzyrodzonych organów policyjnych. Przy okazji mój chłopak.

– Sorki, Temper, ale jeszcze tydzień go nie będzie. – Rozluźniam się nieco, gdy to mówię.

To źle, prawda? Cieszyć się, że chłopak wyjechał i ma się czas dla siebie, to źle?

Zapewne równie źle jest czuć się przytłoczonym czułością. Boję się tego, co to oznacza, zwłaszcza że w ogóle nie powinniśmy się spotykać.

Pierwsza i podstawowa zasada głosi, by nie wiązać się ze współpracownikami. Wystarczyło jedno wieczorne wyjście na drinka po robocie, a ja połamalam tę zasadę, jakby nigdy nie istniała. A potem naruszałam ją raz po raz, aż w końcu wylądowałam w związku, choć nie byłam pewna, czy go w ogóle chciałam.

– Uch – stęka Temper, zarzucając lekko włosami, gdy odchyła głowę do tyłu i podnosi oczy ku niebu. – Złole uwielbiają mącić, kiedy Elia nie ma. – Kieruje się w stronę drzwi, rzuca mi na odchodnym spojrzenie i wychodzi z biura.

Wpatruję się chwilę w teczkę, potem biorę ją do rąk.

Sprawa jak każda inna. Nie kryje się w niej nic szczególnie okrutnego czy trudnego. Nic specjalnego, przez co korciłoby mnie, by sięgnąć po johnny'ego walkera, którego trzymam w szufladzie biurka. Przekonuję się, że i tak mnie kusi – ręka mnie świerzbi, by wyciągnąć butelkę.

Na świecie jest zbyt wielu złych ludzi.

Uciekam spojrzeniem ku onyksowym koralikom otaczającym moją lewą rękę i bębnię palcami po blacie. Odnoszę wrażenie, że koraliki pochłaniają światło zamiast je rozpraszać.

Zbyt wielu złych ludzi, za dużo wspomnień, które warto by wyrzucić z pamięci.



W gustownej restauracji, do której wchodzę punktualnie o ósmej wieczorem, panuje półmrok, rozpraszany przez jaśniejące lekkim światłem świece stojące na każdym z dwuosobowych stolików. Widać, że Flamenco's to lokal dla bogaczy, którzy chcą uderzyć do siebie w zaloty.

Stukając cicho obcasami o parkiet, idę za kelnerem, który prowadzi mnie do prywatnej sali.

Dwadzieścia tysięcy. Kupa kasy. Ale nie robię tego dla pieniędzy. Gwoli prawdy jestem koneserką uzależnień, a to akurat zalicza się do moich ulubionych.

Kelner otwiera drzwi prywatnej sali i wchodzi.

W środku grupka osób siedząca wokół dużego stołu rozmawia po przyjacielsku. Głosy przycichają nieco, gdy tylko

drzwi zamykają się za mną z lekkim trzaskiem. Nie ruszam się z miejsca.

Taksuję spojrzeniem Micky'ego Fugue'a – łysiejącego mężczyznę pod pięćdziesiątkę. To mój obiekt.

Skóra zaczyna mi jaśnieć, gdy odsłania się moja syrenia natura.

– Wszyscy wyjść – mówię głosem melodyjnym, mistycznym. Sugestywnym.

Niemal jednocześnie goście wstają z zamglonym wzrokiem.

Oto moja piękna, zatrważająca moc. Moc syreny. Nakłonić chętnych – i niechętnych – by uczynili, co zechcę, i uwierzyli, w co zechcę.

Aura. Nielegalna. Nie żeby mnie to specjalnie obchodziło.

– Wieczór był bardzo udany – informuję ich, gdy przechodzą. – Wszyscy chętnie spotkalibyście się znów w przyszłości. Aha, a mnie tu wcale nie było.

Kiedy Micky przechodzi obok mnie, łapię go za ramię.

– Ty nie.

Zatrzymuje się, pochwycony w sidła mojego głosu, podczas gdy pozostali goście wychodzą. Mruga oczami przełotnie i w tym momencie widzę, jaki jest zdezorientowany – jego świadomość walczy z moją osobliwą magią. Potem konsternacja znika.

– Usiądźmy. – Kieruję go z powrotem do krzesła, na którym siedział, a potem siadam na sąsiednim. – Wyjdiesz, kiedy skończymy.

Nadal promienieję, a moja moc z każdą sekundą się spiętrza. Ręce drżą mi leciutko, gdy walczę z innymi swoimi impulsami – pragnieniem seksu i przemocy. Taka to ze mnie współczesna doktorka Jekyll i pani Hyde. Na ogół jestem po prostu prywatną detektywką Callie. Lecz gdy muszę skorzystać ze swojej mocy, wyłania się inna strona mojej osobowości. Syrena to potwór, który we mnie tkwi – chce tylko brać i brać. Siał zamęt i sycić się strachem oraz żądzą swoich ofiar.

Nie przyznaję tego bez oporów, ale trudno jest ją kontrolować.

Biorę kawałek chleba z jednego z koszyczków stojących na środku stołu i przysuwam sobie talerzyk nieużywany przez żadnego z gości. Nalewam oliwy, a potem octu balsamicznego, maczam chleb i odgryzam kawałek.

Mierzę wzrokiem siedzącego obok mnie mężczyznę. Garnitur na miarę skrywa obwisły brzuch. Na nadgarstku rolex. Według akt jest księgowym. Wiem, że księgowi przyzwyczajeni zarabiają, zwłaszcza tutaj w Los Angeles, ale aż tak to im się nie wiedzie.

– Może przejdziemy od razu do sedna? – proponuję. Gdy mówię, jednocześnie włączam kamerę w telefonie, tak by zarejestrować naszą rozmowę. – Nagram naszą pogawędkę. Proszę powiedz na głos „tak”, by wyrazić zgodę na rozmowę.

Micky ściąga brwi, walcząc z czarem przesycającym mój głos.

– Tak – cedzi w końcu przez zęby. Niegłupi typ: nie rozumie wprawdzie, co się z nim dzieje, ale zdaje sobie sprawę, że zaraz da się orznać. Wie, że już się daje.

Zaczynam, gdy tylko się zgadza.

– Czy sprzeniewierzałeś pieniądze swojej matki? –
Zniedołężniałej, śmiertelnie chorej matki. Niepotrzebnie
czytałam akta. Nie powinnam angażować się emocjonalnie
w prowadzone sprawy, lecz gdy w grę wchodzi dzieci albo
osoby starsze, zawsze czuję, że ogarnia mnie gniew.

Również dzisiaj.

Zjadam kawałek chleba, obserwując go.

Rozchyła wargi...

– Od tej chwili aż do końca naszej rozmowy będziesz
mówił prawdę – słowa rozkazu spływają mi z ust melodyjnie.

Zastyga, a słowa, które miał na końcu języka, giną. Cze-
kam, by coś powiedział, lecz milczy. Skoro już nie może
kłamać, to tylko kwestia czasu, nim wyzna prawdę.

Micky walczy z moją aurą, ale bezskutecznie. Zaczyna się
pocić, mimo że na jego twarzy maluje się neutralny wyraz.

Nadal jem, jak gdyby nigdy nic.

Policzki barwi mu rumieniec. Wreszcie wykrztusza:

– Tak. Skąd ty, kurwa...

– Cisza.

Natychmiast milknie.

Co za zwyrol. Kradł pieniądze konającej matce. Słodkiej
staruszce, której największą życiową porażką było to, że zro-
dziła tego frajera.

– Od kiedy to robisz?

W jego oczach tli się gniew.

– Od dwóch lat – wycedza wbrew swojej woli. Piorunuje
mnie wzrokiem.

Niespiesznie dojadam chleb.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam w końcu.

– Nie korzystała z nich, a mnie były potrzebne. Oddam je – oświadcza.

– Och, czyżby? – Unoszę brwi. – A ile sobie... pożyczyles? – pytam.

W milczeniu mijają kolejne sekundy. Zaczerwienione policzki Micky'ego krasnieją coraz bardziej. Wreszcie mówi:

– Nie wiem.

Pochyliam się do niego.

– Oszacuj.

– Może jakieś dwieście dwadzieścia tysięcy.

Gdy słyszę tę kwotę, przesywa mnie gniew.

– A kiedy planowałeś zwrócić matce pieniądze? – indaguję.

– J... już – duka.

Tu mi kaktus.

– Ile pieniędzy masz obecnie na koncie? – dopytuję.

Sięga po szklankę z wodą i upija duży łyk, dopiero potem odpowiada:

– Ja... lubię inwestować.

– Ile pieniędzy?

– Nieco ponad dwanaście tysięcy.

Dwanaście tysięcy dolarów. Opróżnił matce kabzę i żyje jak panisko. Lecz za tą fasadą kryje się człowiek, który ma tylko dwanaście tysięcy dolarów. Idę zresztą o zakład, że niebawem również te środki się upłynią. Takie typy jak on mają dziurawe ręce – pieniądze od razu z nich wylatują.

Mierzę go rozczarowanym spojrzeniem.

– Nie jest to właściwa odpowiedź. No więc... – ciągnę. Syrenia natura zachęca do okrucieństwa. – Gdzie te pieniądze?

Drga mu spotniała górna warga. Odpowiada:

– Nie ma ich.

Wyciągam rękę i wyłączam kamerę oraz dyktafon. Klientka zdobyła przyznanie się do winy, którego pragnęła. Ale Micky ma pecha, bo ja jeszcze z nim nie skończyłam.

– Ależ skąd – stwierdzam. Nieliczni, którzy znają mnie dość dobrze, rozpoznaliby tę zmianę tonu.

Micky ściąga znów brwi – ujawnia się jego konsternacja.

Dotykam kłapy w garniturze.

– Ładny garnitur... bardzo ładny. A zegarek... Rolex swoje kosztują, prawda?

Olśniony aurą kiwa głową.

– Otóż to – zgadzam się z nim. – Widzisz, w przypadku ludzi takich jak ty pieniądze nie rozplývają się w powietrzu. Są przeznaczane na... jak to nazwałeś? – Rozglądam się, jakby brakowało mi słowa, i strzelam palcami. – Inwestycje. Przesuwają się tu i ówdzie, ale to wszystko. – Pochyliłam się w jego stronę. – Troszkę je jeszcze poprzesuujemy.

Wybałusza oczy. Teraz widzę Micky'ego – nie marionetkę pod kontrolą mojej magii, lecz kogoś, kim był, zanim weszłam na salę. Osobę przebiegłą, słabą. Ma pełną świadomość, co się dzieje.

– Kim... ty jesteś?

SYRENA CALLYPSO LILLIS MA BARDZO DUŻY
PROBLEM, CIĄGNĄCY SIĘ WZDŁUŻ JEJ
RAMIENIA I GŁĘBOKO W PRZESZŁOŚĆ.

Od siedmiu lat Callie nosi na nadgarstku bransoletkę z czarnych koralików – każdy z nich to magiczny oblig za otrzymaną niegdyś przysługę. Rachunek wyrówna tylko splata długu... albo śmierć.

Każde dziecko wie, że po przysłudze trzeba się zgłaszać do Negocjatora. Zdobędzie on, czego tylko się zapragnie... lecz nie za darmo. I każde dziecko wie, że prędzej czy później zawsze żąda spłaty należności. Ale nigdy wcześniej nie domagał się wyrównania rachunków od Callie...

Gdy syrena zastaje w swojej sypialni Negocjatora – z uśmiezkiem na ustach i błyskiem w oku – wie, że czekają ją zmiany. Na początku chodzi o prawdę – to pierwszy koralik – więc Callie musi przyznać, że łączy ich wzajemny pociąg. Lecz Negocjator chce nie tylko odnowić dawną więź – gra się toczy o wyższą stawkę. W Zaświecie dzieją się osobliwe rzeczy. Raz po raz dochodzi do zaginięć elfich wojowników, a powracają jedynie kobiety... Każda z nich w szklanej trumnie z dzieckiem przyciśniętym do piersi.

Aby Negocjator mógł ocalić swój lud,
musi zyskać pomoc syreny, którą dawno temu odtrącił.

O ile ona mu przebaczy.

wydawnictwofilip.pl



FILIP

cena 52,90 zł

ISBN 978-83-8357-668-8



9 788383 576688